

Hakerka, która szuka sprawiedliwości.
Podkomisarz CBŚ, który chce ją zatrzymać.

LENA M. BIELSKA
SANDRA BIEL

ZŁAP

Nieuchwytni #1

MNIE



Copyright © 2021

Lena M. Bielska

Sandra Biel

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Katarzyna Moch

Korekta:

Aleksandra Szczerba

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-651-5

LENA M. BIELSKA

SANDRA BIEL

ZŁAP MNIE

NIEUCHWYTNi #1

OŚWIĘCIM 2021

Prolog

Odszedłeś. Zostawiłeś mnie w momencie, w którym najbardziej Cię potrzebowałam. Zaufałam Ci, choć tak bardzo się tego bałam. Zaufałam i włożyłam na nos różowe okulary. Myślałam, że chciałeś tego samego, co ja. Sądziłam, że walczyliśmy o wspólną sprawę. Wierzyłam, że to nie był przypadek, że nasze drogi skrzyżowały się ze sobą.

Zostawiłeś mnie samą. Tak wtedy myślałam. Teraz jednak wiem, że prawda jest zupełnie inna. Nigdy nie miałam zostać sama. I nigdy już nie będę.

Nienawidzę Cię. Tak bardzo nienawidzę...

Cienka jest linia między miłością a nienawiścią. Popchnąłeś mnie do przodu. Myślałam, że chciałeś, żebym ruszyła naprzód, ale nie. Może nie wbiłeś mi noża w plecy, ale pomogłeś swoimi czynami przekroczyć granicę.

W dniu, w którym odszedłeś, znienawidziłam Cię tak bardzo, że... nawet brak mi słów, żeby to opisać.

Pieprz się.

Rozdział pierwszy

@TheEvilFixer

Zrzuciłam z siebie ubrania i uśmiechnęłam się szeroko. Cieszyłam się, że dokonałam takiego wyboru. Był najlepszą z decyzji podjętych od pewnego czasu. Mimo że jeszcze chwilę temu nawet nie pomyślałabym, że dzisiejsza eskapada skończy się w ten sposób, nie potrafiłam się oprzeć; to po prostu było silniejsze ode mnie. Nachyliłam się i zanurzyłam dłoń w wodzie – idealna!

Zakreśliłam kurki i weszłam do jacuzzi. Położyłam się i jęknęłam z zadowolenia. Zmarzłam, więc teraz miałam szansę porządnie się rozgrzać. Mimo że był już maj, pogoda nie rozpieszczała. Przez ostatnie dni padał deszcz i wiał zimny, nieprzyjemny wiatr. Dodatkowo ostatni spadek wagi spowodował, że odczuwałam chłód bardziej dotkliwie. Może nie powinnam marnować czasu i się narażać, ale... teraz nie zamierzałam o tym myśleć.

Wcisnęłam przycisk hydromasażu i napawałam się tym cudownym uczuciem na ciele. Choć powinnam teraz obmyślać plan działania, zastanawiać się nad kolejnym krokiem, może nawet korygować i zmieniać schemat postępowania, by nie zostać złapaną, to nie potrafiłam się skupić. Musiałam dać odpocząć umysłowi. Spięte mięśnie też potrzebowały rozluźnienia, a to jacuzzi było przegenialne.

Po jakichś trzydziestu minutach leżenia i myślenia o dupie Maryny zaczęłam przeglądać kosmetyki do kąpieli. Niezłą kolekcję miała ta babeczka – właścicielka domu.

Zamoczyłam włosy i sięgnęłam po szampon. Mocno zaciągnęłam się precudownym, waniliowo-truskawkowym zapachem

tuż przed tym, jak wmasowałam płyn w skórę głowy. Chwilę później ponownie się zanurzyłam, by spłukać pianę. Kolejno wtarłam we włosy odżywkę, umyłam twarz żelem i nałożyłam maseczkę. Następnie wzięłam peeling – naturalny, kawowy. Aż dostałam ślinotoku przez te wszystkie smakowite zapachy. Wy-masowałam ciało i zmyłam z siebie resztę kosmetyków. Ze smutkiem wyszłam z jacuzzi, wyciągnęłam korek i wyłączyłam hydromasaż. Wytarłam się ręcznikiem i nasmarowałam olejkami.

Czułam się genialnie. Po tym hydromasażu nawet moje piersi wyglądały na jędrne i sterczące. Lubiłam je. Najbardziej uwielbiałam w nich kolczyki w sutkach. Jako że dzięki nim były jeszcze bardziej wrażliwe, potrafiłam dojść od samych pieśczot. W sumie miałam ochotę pobawić się ze sobą albo z Michałem, ale to później – jak wrócę wieczorem do jego mieszkania.

Schyliłam się, by wziąć z podłogi ciuchy. Zrobiłam krok, ale... poślizgnęłam się na kafelkach. Próbuąc uniknąć zaliczenia gleby, złapałam za kurek na wannie i... niechcący go urwałam.

Naprawdę niechcący!

– Kuźwa! Pieprzone gówno! – krzyknęłam spanikowana.

Złapałam się za głowę. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić. Nie znałam się na hydraulice!

Byłam przerażona. W popłochu zaczęłam się ubierać.

Noż kuźwa! Przez tryskającą pod wysokim ciśnieniem wodę znowu byłam cała mokra! Na domiar złego moja dupa nie chciała zmieścić się w dżinsy, które jakimś cudem skurczyły się o trzy rozmiary.

Byłam bliska wybicia sobie zębów, kiedy biegłam do drzwi. Wzięłam plecak, który zostawiłam wcześniej na korytarzu, i wybiegłam z domu. Kiedy dotarłam za bramę, musiałam się zatrzymać i pochylić. Ułożyłam ręce na kolanach. Sapałam jak lokomotywa. Dodatkowo złapał mnie jeszcze kaszel. Pieprzony brak kondycji kiedyś mnie wykończy – tak samo jak fajki.

Walę to! Od jutra rzucam palenie i zaczynam biegać.

Dobra, mówiłam tak średnio co dwa dni od ponad trzech lat. Nienawidziłam biegać. Jeszcze w szkole na wychowaniu fizycznym jakoś sobie radziłam, choć nigdy nie byłam mistrzynią w sporcie. Teraz natomiast lepsza kondycja by mi się przydała, żebym mogła doprowadzić sprawę do końca.

Po kilku minutach wreszcie się wyprostowałam, jednak nie całkiem, bo złapała mnie kolka. No tak – jak nie urok, to sraczka.

Szłam powoli, docierając do bardziej ruchliwych ulic Kostuchny. Choć ta dzielnica Katowic to było zadupie, przynajmniej znajdowało się tu dużo domów niesąsiadujących z innymi. Raczej nikt mnie nie widział, a nawet gdyby, to obszerna bluza z kapturem zaciągniętym na głowę uniemożliwiała rozpoznanie mnie. Ha! Byłam jak ninja! No prawie... Gdybym jeszcze miała lepszą albo w ogóle jakąkolwiek kondycję byłoby o wiele prościej.

Niedługo później stałam już kilkanaście metrów od przystanku. Wolałam nie narażać się psiarni i nie dostać mandatu. Oni tylko na to czekali, by kogoś udupić za palenie fajek. Nawet wtedy, gdy jedyną osobą na tym przystanku był sam palący. Nie byłam zresztą aż taką suką. Zawsze odsuwałam się od ludzi, gdy paliłam, bo wiedziałam, że komuś może przeszkadzać dym, ale bez sensu było, że teraz stałam jak ciul, kiedy obok znajdowała się wolna ławeczka.

Przydeptałam peta butem, jak tylko zauważyłam nadjeżdżający autobus. Kiedy się zatrzymał, weszłam do niego i usiadłam na wolnym miejscu z tyłu. Podróż do centrum o tej porze to jak nic prawie godzina, albo i dłużej. A później jeszcze spory kawałek do Silesii City Center. Mogłam albo przesiąść się na tramwaj, albo zapieprzać piechotobusem.

Właśnie! Muszę ogarnąć finanse.

Wyciągnęłam z plecaka portfel i przeliczyłam gotówkę. Prychnęłam pod nosem. Trzyście dwadzieścia ledwie wystarczy na fajki, a przecież już kończył mi się zapas Mamby. Wyciągnęłam z opakowania jedną gumę rozpuszczalną i wsadziłam

ją do ust. To najlepszy wynalazek ludzkości, a jednocześnie mój najgorszy nałóg. Tak jak mi stykała ¹ paczka szlęgów na półtora dnia, tak opakowań Mamby zjadałam około piętnastu dziennie, a w każdej było po sześć porcji. Wychodziło dziewięćdziesiąt gum na dobę.

Kuźwa. Jestem mamboholiczką.

Zaburczało mi w brzuchu, więc od razu wzięłam kolejną gumę i oparłam głowę o szybę. Znów zaczęło padać. Nienawidziłam takiej pogody. Kochałam słońce i upał, a nie szarowę i pizgawicę. Byłam meteopatą. W takie dni nie miałam na nic siły.

– Bileciki do kontroli – usłyszałam znienawidzone słowa wypowiedziane przez kanara.

Rozejrzałam się szybko i przekalkulowałam, czy miałam szansę spieprzyć na najbliższym przystanku, zanim by do mnie dotarli. Od razu jednak uświadomiłam sobie, że nie było na to ani cienia szansy.

Kuźwa.

Wygrzebałam podrobiony dowód i zacisnęłam mocno szczękę. Modliłam się w duchu, by ciul nie był spostrzegawczy, bo ten plastik to była kpina. Sprawne oko natychmiast mogło zauważyć, że coś z nim jest nie tak.

Kiedy podszedł szczył młodszy ode mnie, parsknęłam cicho pod nosem. KZK GOP nie miał już kogo zatrudniać, tylko dzieciaki z mlekiem pod nosem?

Kanar nawet nie zdążył nic powiedzieć, a ja już wystawiałam w jego stronę fałszywkę. Koleś zrozumiał, że nie miałam biletu, i od razu zaczął mi wypisywać mandat.

– Czemu bez biletu... Judyto? – zapytał, a następnie podał mi świstek i dowód.

– Nie stać mnie – odpowiedziałam i wzruszyłam ramionami.

– Teraz zapłacisz więcej – skwitował, ale na szczęście oddalił się w stronę następnego pasażera.

¹ Styknąć (z gw. śląskiej) – wystarczyć (przyj. red.).

Chuja zapłać! Judyta Nowak nie istnieje, choć zapewne gdzieś w Polsce żyje sobie taka kobieta, tylko szkoda, że pod widniejącym na plastiku adresem znajduje się Urząd Skarbowy. Pokręciłam głową i zaśmiałam się pod nosem. Otaczali mnie debile.

Wysiadłam powoli z autobusu, gdy ten zatrzymał się na dworcu. Lewa noga lekko mi zdrętwiała. Skrzywiłam się, bo to było cholernie irytujące i boleśnie nieprzyjemne uczucie. No tak. Oprócz nałogowego palenia papierosów, pożerania Mamby w ilościach zastraszających, kochałam też kawę. Drętwienie nóg i skurcze były tego efektem.

Odetchnęłam katowickim smrodem. Stare ikarusy nadal były w użytku, a jak stanęło się przy rurze wydechowej, to spaliny mogły nawet ubrudzić ubranie. Wyglądało się wtedy jak grubiorz² po szychcie.

Spojrzałam na budynek dworca. Był brzydki, ale i tak nie chciałam, by się zmieniał. Mieli jednak w planach jego modernizację, rozbudowę czy tam przebudowę. Planowali wszystko zmienić. Chcieli jakąś nową galerię stworzyć.

Westchnęłam i zaczęłam iść w stronę Stawowej. W sumie w planie miałam skoczenie do Silesii, ale mi się odechciało. McDonald's musiał mi styknąć.

Wiele osób nie lubiło centrum przez wieczny hałas i smog, jednak to właśnie tutaj czułam się najlepiej. Za dzieciaka mieszkalam na Bogucicach. Byłam do tych wszystkich niedogodności przyzwyczajona.

– Cześć, Zdzisiu! – przywitałam się z moim kolegą siedzącym przy Żabce.

– Judyta! Dawno cię nie widziałem. Zaczynałem się bać, że znów wpakowałaś się w kłopoty. – Przeszył mnie wzrokiem.

W odpowiedzi zakreśliłam palcem aureolę nad kapturem, po czym złożyłam ręce jak do modlitwy. Zdzisio parsknął śmiechem i pokręcił przy tym głową, a ja wyciągnęłam ostatnie pie-

² Grubiorz (z gw. śląskiej) – górnik (przyp. red.).

niądze i mu je wręczyłam. W sumie głupio mi było dawać mu ledwo ponad dychę, bo to dzięki niemu miałam konto w banku i kartę, ale nie miałam więcej.

– Chcesz fajki? – zapytałam i sięgnęłam do kieszeni bluzy po paczkę.

Jak tylko ją otworzyłam, westchnęłam żałośnie. Zostały mi tylko trzy. Mimo wszystko wyciągnęłam jednego szluga i wcisnęłam Zdzisiowi opakowanie. Uśmiechnął się do mnie ciepło, gdy się z nim żegnałam.

Odpaliłam papierosa i stanęłam przed wejściem do Maka. Pa-liłam spokojnie i wolno. Musiałam się nacieszyć tą fajką, bo nie wiedziałam, kiedy uda mi się zdobyć jakąś kasę. Miałam nadzieję, że łowy będą owocne, a ludzie jak zawsze naiwni.

Wrzuciłam peta do kosza i weszłam do restauracji. Zaczęłam się rozglądać za wolnym stolikiem i krew mnie zalała. Kuźwa, jak zawsze zajebane. Co ci ludzie, pracy nie mają? Dzieciaki nie powinny przypadkiem siedzieć w domach na dupach i się uczyć?

Chyba zbliżała mi się ciota, bo jakoś wszystko działało mi na nerwy bardziej niż zazwyczaj.

Alleluja! Ludzie właśnie zwolnili stół!

Usiadłam przy nim, jak tylko odeszli, i od razu zaczęłam przeklinać i marudzić pod nosem. Pieprzeni idioci nie potrafili wziąć ze sobą tacek i ogarnąć syfu, który narobili! Ileż można tłumaczyć debilom, że tam, gdzie nikt im nie przynosi żarcia do stolika, trzeba po sobie posprzątać?!

Na szczęście chwilę później podeszła jakaś kobieta i uprzątnęła cały ten burdel. Podziękowałam jej, uśmiechając się do niej szczerze. Następnie wyciągnęłam z plecaka laptopa i podłączyłam ładowarkę. Dobrze, że blisko mnie znajdowało się gniazdko. Połączyłam się z darmowym Wi-Fi i czekałam, aż wszystko się załaduje.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej i jednocześnie pokręciłam z niedowierzaniem głową. Ludzie jednak byli totalnymi kretyna-

mi. Na piętnaście wysłanych wiadomości, że są proszeni o dostanie pieniędzy na opłatę celną za paczkę z zagranicy, dziewięcioro się zalogowało i podało wszystkie dane do konta bankowego.

Mnie to ułatwiało życie, bo miałam dostęp do hajsu, ale jednocześnie nie potrafiłam zrozumieć tych osób. Przecież co chwilę podawali w mediach informacje, by nie odpowiadać na tego typu maile czy wiadomości tekstowe, bo były to próby kradzieży, a ludzie i tak dalej to robili.

Powoli wszystko przeglądałam. Logowałam się, potem sprawdzałam, ile kto miał na koncie, i na koniec przelewałam sobie nieduże kwoty – takie, by nikt z właścicieli się nie zorientował. W sumie uzbierały mi się z tego niecałe dwie stówki. Wolałam nie szaleć. Musiałam być ostrożna. Czułam w kościach, że ktoś miał mnie na celowniku, a ja nie mogłam wpaść. Nie mogłam dać się złapać. Miałam misję do wykonania, cel mojego marnego życia. Musiałam doprowadzić sprawę do końca.

Wyłączyłam komputer, gdy pieniądze były już na moim koncie – a raczej na koncie Zdzisia. Odeszła mi jednocześnie ochota na żarcie w tym miejscu, jak tylko zobaczyłam chorobliwie otyłego faceta, który obżerał się powiększonym zestawem. Aż się wzdrygnęłam, kiedy z Big Maca wyleciały na tacę składniki, a on wziął je do rąk i z powrotem wcisnął między połówki bułki.

Spakowałam laptopa do plecaka i sięgnęłam do kieszeni spodni.

Kuźwa! Nie! Nie! Nie!

Zaczęłam się obmacywać, a za chwilę dokładnie przeszukiwać plecak. Z przerażenia oblał mnie pot. Oddech mi przyspieszył.

Nie! To nie może być prawda!

Prawie się rozplakałam.

To jakiś koszmar! Nie mogłam go zgubić!

– Przepraszam, dobrze się pani czuje?

Nie! Nie czuję się dobrze. Właśnie straciłam sporą część swojego życia. Kuźwa!

Rozdział drugi

podkom. Piotr Skarżyński

Puściłem drążek i sapnąłem głośno. Nie było nawet szóstej rano, więc na siłowni znajdowałem się sam – nie licząc oczywiście recepcjonistki. Wziąłem ręcznik z ławeczki i wytarłem nim kark, a następnie przewiesiłem go przez ramię i napiłem się wody prosto z butelki. Przyjemny chłód rozlał się po moim ciele. Potrzebowałem tego. Nie potrafiłem w nocy zasnąć. Czułem mrowienie na całym ciele. Instynkt podpowiadał mi, że miało się coś wydarzyć. Coś...

Rozdzwonił się mój telefon.

Podszedłem do okna i sięgnąłem ręką na parapet. Spojrzałem na wyświetlacz. Maciek. Serce mi przyspieszyło. Czułem adrenalinę rozpływającą się po moim ciele.

– Haker znowu się włamał – to były jego pierwsze słowa.

– Ile razy mam ci powtarzać, że to nie jest haker, a cracker, kurwa. – Westchnąłem. Z telefonem przy uchu ruszyłem w kierunku szatni. – Co tym razem?

– Baza danych biura podróży Flaming.

Wszedłem do szatni, po czym otworzyłem swoją szafkę. Przycisnąłem telefon ramieniem do ucha i nasypałem dwie miarki białka do shakera, a potem dolałem do niego wodę.

– Co sprawdzał? – zapytałem i jednocześnie zakręciłem shaker. Zacząłem nim poruszać w górę i w dół, żeby wymieszać białko z wodą.

– Jak zwykle adresy. Tym razem w Piekarach Śląskich.

Wzniósłem oczy ku niebu i przekląłem siarczyście. Kurwa. Jakiś czas temu był Chorzów.

O co mu, do diabła, chodzi?

– Wyślij mi...

– Masz już wszystko na skrzynce pocztowej – przerwał mi i chrząknął. – Czemu nazywasz go crackerem? Przecież jest nieszkodliwy.

Parsknąłem śmiechem i zamknąłem z trzaskiem szafkę.

– Maciek – westchnąłem – byłby nieszkodliwy, gdyby włamywał się tylko po to, żeby pokazać luki w zaporach. Nie robi tego. Wyciąga informacje. Chuj wie tak właściwie po co.

– Nie rozumiem, czemu się na niego uparłeś – wymamrotał i się rozłączył.

Nikt tego nie rozumiał. Nawet mojemu przełożonemu średnio się podobało, że oprócz zadania znalezienia dowodów na właściciela koncernu farmaceutycznego zajmowałem się jeszcze sprawą crackera. Cóż. Mój przełożony nie rozumiał, że ów cracker zostawiał po sobie ślady. Dokładnie takie same, jakie znaleźliśmy na serwerach drugiej firmy gościa, którego zamierzałem przyskrzynić.

Nie chciałem złapać crackera, żeby wsadzić go do pierdła, a po to, żeby wykorzystać jego wiedzę. Sam nie mogłem nikomu zlecić zhakowania baz danych, ale za to mogłem – gdybym tylko arestował crackera – wykorzystać jego komputery i dyski jako dowody. Może nawet udałoby mi się go zaszantażować i ugrać z nim pomoc w zamian za puszczenie go wolno.

Wziąłem prysznic, a potem ubrałem się – standardowo – w ciemne dżinsy i czarną koszulę. Poprawiłem mankiety, w które wpiąłem spinki z moimi inicjałami, i przerzuciłem przez ramię torbę. Miałem jeszcze wilgotne włosy po kąpieli, ale na dworze było już wystarczająco ciepło, żeby szybko wyschły.

Pożegnałem się z dziewczyną z recepcji i wyszedłem na budzącą się do życia ulicę w Piekarach Śląskich. Jakaś kobieta aku-

rat wchodziła na teren siłowni i posłała mi uśmiech, mrugając do mnie. Spojrzałem na nią obojętnie, jednocześnie wsuwając na nos okulary przeciwsłoneczne, i ruszyłem w kierunku terenówki. Wytargałem zza wycieraczki mandat za parkowanie na zakazie. Prychnąłem pod nosem, zmiąłem świstek i wrzuciłem go do pobliskiego kosza. Wysłałem wiadomość do Maćka, żeby usunął dane mojego samochodu z bazy mandatów. Chociaż tyle mogłem mieć z tego, że przyjechałem na pieprzony Śląsk w pogoni za dupkiem z La Santé i musiałem mieszkać w jakiejś starej leśniczówce w lesie. Nie mogłem nawet zabrać swojej fury. Nie dałbym rady wjechać nią do lasu po tych wertepach i dziurach. Zanim udałoby mi się przejechać pięć metrów, pewnie rozwaliłbym zawieszenie.

Kilkanaście minut później wjechałem na podwórko i wyskoczyłem z samochodu. Potknąłem się przy okazji o Kirę – siedmioletnią sukę owczarka niemieckiego, łażącą za mną krok w krok.

– Szafir! – ryknąłem, próbując jednocześnie zlokalizować, gdzie, do cholery, był mój drugi pies.

Kira należała do tych lepiej wychowanych i bardziej zapatrzonych w człowieka. Szafir... Szafir zwykle miał wszystko i wszystkich w dupie. Czasami chętny był na spędzanie czasu z człowiekiem, ale tylko wtedy, gdy mógł coś na tym zyskać. Gnojek.

Z oddali dotarł do mnie odgłos szczekania, a potem zza budynku wybiegła wielka kulka ośmioletniej sierści. Szafir dobiegł do mnie, szczeknął trzy razy głośno i – zanim zdążyłem się odezwać – usiadł przede mną i podał mi łapę. Przywitałem się z nim i poczochrąłem jego sierść między uszami. Szafir był moim psem od niecałego roku. Kira zaś była ze mną już dwa lata. Oba psy były już na pieskiej emeryturze – Szafir swego czasu zajmował się szukaniem narkotyków, a Kirę szkolono do odnajdywania zwłok. Teoretycznie te dwa pchlarze mogły jeszcze pracować, ale niestety zaczęły mieć problemy ze stawami i policja chcia-

ła się ich pozbyć. Przygarnąłem je więc do siebie. Nie chciałem, żeby skończyły w schronisku.

Zagwizdałem na nie i ruszyłem w kierunku wejścia do domu. Skrzywiłem się na widok popękanej balustrady wokół tarasu. Pieprzona rudera. Oczywiście, kurwa, nie była podpięta do kanalizacji. Dobrze, że miała prąd i normalną toaletę, chociaż musiałem co jakiś czas załatwiać szambiarkę.

– Ja pierdolę – wymamrotałem do siebie i wszedłem do budynku.

Wprowadziłem się do niego trzy miesiące wcześniej. Dokładnie wtedy, kiedy cracker zaczął się coraz bardziej panoszyć po serwerach biur podróży – najczęściej Flaminga. Nie miałem pojęcia, po cholere potrzebował adresów ludzi, którzy wykupywali wycieczki, ale już wiedziałem, że byłem blisko znalezienia odpowiedzi na to pytanie.

Na polanie oprócz domu stała stodoła. Całość zaś była ogrodzona betonowym płotem. Do najbliższych budynków miałem z tego miejsca dobre trzy kilometry pieszej wędrówki. Samochodem cztery – droga była bardziej zawiła niż udeptane ścieżki między drzewami.

Mieszkanie w lesie miało jednak swoje plusy. Miałem tu ciszę i spokój. Mogłem siedzieć, myśleć i planować kolejne kroki. Nie musiałem przejmować się ewentualnymi hałasami, gdyby udało mi się złapać crackera albo gdybym chciał potrenować strzelanie do celu.

– Macie. – Postawiłem miski z żarciem na drewnianej podłodze w salonie. Wieczorem włożyłem zamrożone porcje do lodówki, więc teraz były idealne do podania.

Odkąd sam zacząłem przygotowywać psom jedzenie, ich wyniki się poprawiły. Nie wiedziałem, jaki syf żarły wcześniej, gdy były pod opieką policji, ale nie zamierzałem już nigdy więcej pozwolić, żeby jadły coś innego niż BARF¹.

¹ BARF – biologicznie odpowiednia, surowa dieta. Posiłek przygotowany z surowego mięsa i podrobów, warzyw oraz suplementów z witaminami i minerałami ma jak

Zrobiłem sobie herbatę ziołową, a potem wziąłem laptopa i usiadłem na tarasie. Włączyłem komputer, zalogowałem się na skrzynkę pocztową i zacząłem przeglądać to, co przesłał mi Maciek.

Cracker, który zostawiał po sobie podpis „TheEvilFixer”, ściągnął adresy kilku klientów biura podróży Flaming. Wszystkie z Piekar Śląskich. Większość z rejonów, gdzie domy ledwo co zaczęły się budować. Zmarszczyłem brwi i upiłem łyk herbaty, próbując rozgryźć system działania przeciwnika. Powinienem być się teraz bardziej zajmować znalezieniem dowodów na łapówkarstwo i przekręty VAT-owskie fiuta z La Santé, ale... Słuchałem intuicji, a ona podpowiadała mi, że odnalezienie crackera mogło mi bardzo pomóc.

– Co tam, Maciek? Masz coś jeszcze? – rzuciłem do telefonu kilka godzin później, gdy znowu do mnie zadzwonił.

– Zgłoszenie z Kostuchny o włamaniu – odparł od razu.

– Czemu miałoby mnie interesować jakieś...

– Ten sam adres wyciągnął twój haker ponad tydzień temu – przerwał mi. – Dom należy do pracownicy La Santé.

Zamarłem z dłonią na grzbiecie Kiry. To nie mógł być przypadek.

– Wyślij mi ten adres – rzuciłem do niego szybko i zerwałem się na równe nogi.

Zamknąłem dom, a potem zbiegłem po schodach i wpadłem do samochodu. Przepisałem na szybko adres podeślany przez Maćka do nawigacji i ruszyłem w kierunku wyjazdu z lasu, pozostawiając za sobą tumany kurzu. Terenówka znowu nadawała się do mycia. Kurwa. Nienawidziłem babrać się z czyszczeniem samochodu, ale jeszcze bardziej nienawidziłem jeździć upieprzonym wozem.

Niecałą godzinę później zaparkowałem pod domem, pod którym stał policyjny radiowóz. Wyszedłem z auta i skierowałem się do budynku. Po drodze minąłem policjanta. Popatrzył

na mnie ze zdziwieniem, ale nawet mnie nie zatrzymał, gdy pokazałem mu blachę². Najwyraźniej kończyli już czynności, więc mogłem wkroczyć do akcji.

Zadzwoniłem dzwonkiem do drzwi i niecierpliwie czekałem, aż ktoś je otworzy.

– Tak? – W progu stała młoda kobieta. Trzymała na rękach małego, ujadającego yorka. – Cicho, Bazyl!

– Dzień dobry – przywitałem się i wystawiłem w jej kierunku legitymację. – Podkomisarz Piotr Skarżyński, Centralne Biuro Śledcze. Możemy porozmawiać?

– Ale... – Zmarszczyła brwi. – Nie rozumiem. My tylko zgłosiliśmy włamanie. Dlaczego...

– Możemy porozmawiać w środku? – przerwałem jej niecierpliwie.

Nie miałem najmniejszej ochoty gadać z nią na zewnątrz. Poza tym chciałem się rozejrzeć po wnętrzu. Liczyłem na znalezienie jakiejś poszlaki, którą policjanci mogli przeoczyć.

Kobieta w końcu wpuściła mnie do domu, a potem poprowadziła do salonu. Stał w nim jakiś mężczyzna – prawdopodobnie drugi właściciel domu – i policjant.

– Dzień dobry, podkomisarz Skarżyński – przedstawiłem się i uścisnąłem dłoń najpierw obcego mężczyzny, a potem funkcjonariusza. – Możemy porozmawiać? – zapytałem tego drugiego, kiedy zobaczyłem, że na stole przed nim leży mały pendrive w foliowej torebce.

– Oczywiście – przytaknął.

Ruszyłem do wyjścia, a potem stanąłem przy schodach na zewnątrz budynku i spojrzałem na młodego policjanta.

– Prowadzę pewne dochodzenie, które doprowadziło mnie do tego domu. Zauważyłem, że znaleźliście pendrive'a zapewne nienależącego do właścicieli. Potrzebuję go.

– Przepraszam, podkomisarzu, ale nie rozumiem, po co...

² Blacha – w gwarze policyjnej: odznaka policyjna (przyp. red.).

– Muszę skonfiskować dowód. Mogą na nim być ważne informacje, których potrzebujemy do doprowadzenia akcji do końca – przerwałem mu i wyciągnąłem dłoń w jego kierunku. – Proszę zadzwonić do swojego przełożonego i go o tym poinformować. Proszę to zrobić teraz. Trochę mi się spieszy.

Wlepił we mnie zaskoczone spojrzenie, ale w końcu posłusznie wybrał numer telefonu i przeprowadził rozmowę ze swoim – jak się domyślałem – szefem. Kilka minut później ruszałem już spod okradzionego domu, a na fotelu obok mnie leżał woreczek strunowy z dyskiem przenośnym w środku. Oczywiście, że udało mi się zdobyć ten dowód. W końcu moja sprawa była dużo ważniejsza niż jakieś mało znaczące włamanie do domu, w którym zostało uszkodzone tylko jacuzzi. To znaczy dla nich to włamanie było mało znaczące, ale nie dla mnie. To nie mógł być przypadek, że cracker włamał się do domu pracownika La Santé. Zastanawiałem się tylko, czy zdołał coś ukraść, czy nie. Jeśli tak i były to informacje dotyczące koncernu, to pracownica mogła specjalnie nie chcieć zgłaszać kradzieży. Hmm...

Wróciłem do leśniczówki i od razu zabrałem się za przeglądanie zawartości dysku. Zmrużyłem oczy, gdy zauważyłem, że foldery były zabezpieczone hasłem.

– Kurwa! – Zacisnąłem dłonie w pięści.

Nie mogło być za pięknie, prawda? Mogłem się, kurwa, domyślić, że ten facet zabezpieczał się na każdy z możliwych sposobów. Wiedziałem, że nie byłem w stanie sam złamać hasła. Nie znałem się na komputerach. Musiałem więc podskoczyć do Maćka i podrzucić mu dysk, żeby to ogarnął. Nie chciało mi się jednak załatwiać tego natychmiast, bo Maciek mieszkał pod Bielskiem. Musiałbym spędzić co najmniej półtorej godziny na jeździe autem.

Westchnąłem ciężko i zatrzasnąłem laptopa, a potem udałem się do kolejnego pomieszczenia. Zapaliłem światło, po czym wlepiłem spojrzenie w ścianę naprzeciwko wejścia.

Na środku wisiało przyklejone zdjęcie właściciela La Santé – Brunona Adamskiego. Obok niego znajdowało się kilka fotek, które przedstawiały jego wizyty u urzędników i na bankietach. Wszystko było połączone czerwonymi, żółtymi i zielonymi sznurkami. Każdy kolor miał swoje znaczenie. Zielone oznaczały moje podejrzenia co do związku między danymi osobami czy sytuacjami. Żółte zaś przedstawiały konkretne zależności, ale nie wyglądały mi na jakoś specjalnie ważne dla sprawy. Czerwone... Czerwonych było najmniej, ale to one były kluczem do rozwiązania.

To właśnie czerwonym sznurkiem połączonych było kilka najważniejszych zdjęć i kartek, ale ostatnio skupiałem się tylko na jednym świstku.

Na fiszce z napisem „TheEvilFixer”.